



Wyglądało na to, że zdążyliśmy ukryć kolumnę na cały długi letni dzień. Zapowiadał się zaś jasny i słoneczny.

W parowie widać było ni to cerkiewkę, ni to kirchę, ni to kościół. Bielaty chaty. Do wsi udała się nasza szpica.

Wieś okazała się polska. Nie pop, lecz ksiądz mieszkał obok kościoła. Poprosilem, żeby mi pozwolił zatrzymać się na plebanii. Ogolona twarz i długa sutanna, przepasana skórzanym pasem. Klaniając się uprzejmie i jak mi się wydawało, uniżenie, zaprowadził mnie do pokoju. Młodzi chłopcy, uczesani tak, jak u nas cheszają się futboliści, odprowadzili za uzdę mojego niepozornego konia. Byli także przepasani skórzanymi pasami. Ich ubiór był podobny do kłoszowych sukien. Dziwaczni ludzie!

— Jak ta wieś się nazywa, proszę księdza? — zapytałem sennie, ot, żeby coś powiedzieć.

W odpowiedzi usłyszałem:

— Wioska nazywa się Stara Huta.

— Znowu Stara Huta? — krzyknąłem.

Ile ich już było na naszej drodze!

Ze Starej Huty, na rozkaz towarzysza Stalina, wyruszyliśmy z oddziałem Kowpaka w ten nieskończony raid. Stare Huty na Czernihowszczyźnie, na Białorusi, pod Kijowem, i oto znowu — gdzieś u podnóża Karpat — nieznaną Stara Huta. Jak zbawienny drogowszak pojawia się zawsze, Stara Huta, na mojej burzliwej drodze. A może jesteś — ostatnim wykrzyknikiem na końcu życia?!

Dla jednego z nas jesteś już ostatnią Starą Hutą. Pogrzebaliśmy go pod korzeniami starych dębów.

Ksiądz, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, mrugając na mnie swawolnie, wskazuje oczami małą szafeczkę.

„O co idzie? Aha! Na stole już stoją małe kieliszeczki“. Ksiądz wyjmując z szafki karafkę. Nalewa i kłania się. Usłyszawszy, że jeden z partyzantów zwrócił się do mnie per „towarzysz podpułkownik“, ksiądz patrzy na mnie ze zdumieniem. Zmieniając szybko napanastki na duże kieliszki, ogląda order i medale, zawieszony w klapy mojej marynarki.

— Panie pułkowniku! Stukniemy się za zdrowie naszego wojska, panie pułkowniku!

Uśmiech nie schodzi z jego twarzy.

— Co ksiądz wie o faszystowskich garnizonach?

Ksiądz odpowiada uniżenie i zarazem dokładnie.

Po czym zapytuje:

— A wie pan pułkownik, że przedwczoraj wyruszyliśmy z Buczacza duża ilość samochodów?

— Dokąd?

— Na zachód, proszę pana pułkownika.

— Wojsko? — pytam księdza i idę po mapę.

Zamachał przecząco rękami i cicho, przymilnie zachichotał.

— Nie, nie, proszę pana pułkownika. Nie wojsko. To Niemcy-cywilie uciekali do Lwowa.

Sprawdzam na mapie: Buczacz jest oddalony od Starej Huty o piętnaście kilometrów. Aha! Więc gebietskomisarze, landraci, oficerowie intendencji, cała ta na wpół cywilna szarańcza, wysysająca krew z ludzi, porzuca zagrzane od dawna miejsca i stanowiska i pędzi do Lwowa. Zapominając o ostrożności, „ulegam“ uprzejmemu tonowi mojego rozmówcy.

— A czy mógłby się ksiądz dowiedzieć, co słychać w Buczaczu?

— Teraz?

— Tak, dzisiaj.

Zatrzymawszy się na chwilę i wpijając we mnie badawcze spojrzenie, ksiądz nagle wypowiedział polskie słowo, które usłyszałem wtedy po raz pierwszy, słowo „wywiad“.

— Tak. Prośba pana pułkownika o przeprowadzenie dla niego wywiadu przynosi mi zaszczyt.

— Nie rozumiem.

Ksiądz, z lisim uśmiechem, wyjaśnia w kilku słowach, co to znaczy.

— A — a... wywiad — to nasza „razwiedka“...

I patrząc mi w oczy już pewnym, otwartym spojrzeniem, powtarza:

— Pan prosi o przeprowadzenie wywiadu?

— Tak jest, jeśli można.

Ksiądz przeobraził się w oczach.

— Można!

I po wojskowemu stuknąwszy obcasami, zwrócił się w stronę drzwi:

— Wacek, chodź no tu!

W jego głosie dźwięczał rozkaz. Z bocznych drzwi wybiegł młody kleryk, podstrzyżony a la „młisi boks“. Stał w drzwiach. Ksiądz przeszedł kilka razy po pokoju tam i z powrotem, coś obmyślając. Wacek śledził gospodarza nie spuszczać z niego oczu. Nagle ksiądz podszedł do kleryka bardzo blisko i powoli, uroczyście wycedził:

— Wacek! Pojedziesz teraz do Buczacza. Wacek! Zrobisz wywiad dla pana pułkownika. Tak zrobisz, jakbyś to zrobił dla polskiego wojska.

I podniósł do góry dwa palce.

Dalibóg, gdyby nie czarne sutanny, dałbym sobie głowę odrąbać, że mam przed sobą oficera, dla którego zewnętrzny blichtr i szyk, i metaliczne brzmienie głosu, i szybki zwrot, i stuk obcasów, i umiejętne podniesienie do góry dwóch palców, oznaczających „honor i ojczyzna“ — to rzeczy najważniejsze!

Uważnie wysłuchawszy rozkazu księdza, Wacek zrobił w tył zwrot i stuknąwszy obcasami zniknął. Postać księdza lekko się zgarbiła; opuścił ramiona i niepewnym, babskim krokiem podszedł do stołu. Nalał z karafki wódki i zachichotał.

Moją senność jak ręką odjął. Przypatrując się mojemu rozmówcy, myślałem: „Co tu zrobić, żebyś puścił farbę?“

Ksiądz chciał podnieść rękę. Powstrzymałem go i sam wysoko podniosłem kieliszek.

— Pierwszy raz, proszę księdza, pan wypił za nasze wojsko. Niech mi wolno będzie tu, na ziemi, którą depczą hitlerowcy, zmykając przez Buczac do Lwowa, powiedzieć panu od siebie: czmychną jeszcze za Kraków i za Warszawę. „Jeszcze Polska nie zginęła!“ — I stuknąwszy się wypilem duszkiem.

Myślałem w pierwszej chwili, że ksiądz rzuci mi się w objęcia. Nie chichotał już, ale głośno zaśmiał się basem. W jego głosie znowu zadźwięczał metal.

Przyglądałem mu się uważnie.

„Zdaje się, że cię rozgryzłem“.

— A jak to się dzieje, że ksiądz posyła zwykłego kleryka i powierza mu tak ważną sprawę jak razwiedka?

— Co to jest razwiedka? — zapytał podchmielony już mój rozmówca.

— Razwiedka to jest to samo co wywiad?

Pokiwawszy głową, ksiądz ciężko dysząc nachylił się ku mnie poprzez stół.

— Niech mi pan pułkownik wierzy. Wacek nosi sutannę teraz kiedy ci dranie depczą naszą ziemię. A kiedy trzeba, to Wacek jest kapralem polskiego wojska.

— Dajmy na to, że Wacek jest kapralem. Ale dlaczego kapral polskiego wojska słucha księdza, sługi bożego?

— Dlatego, że dla kaprała ksiądz jest jego dowódcą.

— Przyszłym? — zapytałem.

— I byłym, i przyszłym — odpowiedział ksiądz, już niczego nie ukrywając.

„Oto skąd bierze się wojskowa postawa i rozkazujący głos u człowieka w sutannie, o babskiej twarzy“.

Spokojnie położyłem się spać poprosiwszy księdza, żeby mnie obudził po dwóch godzinach.

— Jeżeli nic się nie stanie — dodałem z uśmiechem.

Ale nic się nie stało, i ocknąłem się wypoczęty i rześki.

Jeszcze jeden nocny marsz na zachód i jeszcze jeden dzień w stepie, gdzie można znaleźć tylko niewielkie skrawki lasu. Myszkuje nad Tarnopolszczyzną „mesery“, szperają po wąwozach i zagajnikach, spadają z obłoków, ostrzeliwiają na chybił trafił wsie i skupienia chłopów, którzy zwieźli do młyna mąkę na przemiał. Ale teraz Kowpaka już nie znajdują. Zamaskowali się idealnie.

Wiemy, że nasze pojawienie się poważnie zaniepokoiło władze galicyjskiego dystryktu. Ale rozgromiony trzynasty pułk nie mógł już nam zagrozić drogi. A gubernator Frank i lwowski generał policji Katzman nie mieli więcej wojska do dyspozycji. Oto dlaczego „przydzielili“ do nas lotnictwo. Wyliczenie proste: jeżeli lotnictwu nie uda się wyrządzić nam szkód, to w każdym razie utrudni nam poruszanie się, opóźni marsz, rozbije nasze plany i rozstroi nerwy.

Od wczesnego więc świtu do późnej nocy, bez przerwy nawzajem się luzując, wisi nad nami eskadryla „Messerschmittów-110“. Nieprzyjacielskie samoloty operują parami lub trójkami. Jedna trójka krąży pół godziny — godzinę, bada grunt, oznacza cele, bombarduje i w locie koszącym ostrzeliwuje zagajniki. Nie widzą nas i nie wiedzą gdzie, w których krzakach zamaskował się nasz obóz. Ale rzucone na chybił trafił pociski jednak wyprowadzają ludzi z równowagi. A już najbardziej dostaje się koniom. Zrzuciwszy bomby, klucz odlatuje na zachód. Wtedy natychmiast zawisa nad zagajnikiem: samolot zwiadowczy — tzw. „ważka“. A po upływie pół godziny nadlatuje nowa trójka. i znowu zaczyna się to samo.

I tak dzień w dzień — aż zmierzch spowije galicyjską ziemię...

Kowpak, rozścielwszy szubę pod krzakiem, patrzy spode łba na szalejące na niebie „mesery“.